

Wyprowadzanie sztandaru

JERZY ZDRADA

Wspominając wybory 4 czerwca 1989 r. w Krakowie, nie mogę pominąć wydarzeń wcześniejszych, które miały wpływ na nasze postawy oraz charakter kampanii poprzedzającej głosowanie. Pamiętam strajk w Hucie na wiosnę 1988 r., piorunujący efekt „dyskusji” Lecha Wałęsy z Miodowiczem (30 XI 1988), a wnet po niej międzynarodowe echa wizyty Lecha z Gremkiem i Wielowieyskim w Paryżu (9-12 XII) na zaproszenie prezydenta Mitterranda (obserwowałem to bezpośrednio w jego „orszaku”) oraz utworzenie 18 grudnia Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Kiedy po inauguracji Okrągłego Stołu zapowiedziano przerwę, na naradzie w Gdańsku zaproponowałem, aby Lech rozpoczął od Krakowa i Nowej Huty „tourné polityczne” po Polsce: tak się stało i w dniach 9-10 lutego 1989 r. miały miejsce spotkania w kościele w Mistrzejowicach, tłumne w Collegium Novum UJ, w „Tygodniku Powszechnym, z ks. kardynałem Macharskim oraz w klasztorze OO. Kapucynów, skąd Lech odjechał do Bielska. W końcu lutego napięcie wzrosło po starciach milicji z manifestującymi studentami. Otrzymane od Macieja Szumowskiego taśmy video z nagraniami zajęć pod UJ oraz z narady aktywu partyjno-esbeckiego (z udziałem gen. Gruby) wraz ze swoim opisem sytuacji w Krakowie przekazałem naszym reprezentantom przy Okrągłym Stole, gdyż świadczyły o groźbie siłowej „pacyfikacji”. Sam w tym czasie brałem udział w pracach zespołu ds. samorządu terytorialnego.

Wydarzenia od wizyty Wałęsy w Krakowie, przez akcje informujące o stanowisku naszych przedstawicieli przy Okrągłym Stole do 5 kwietnia, kiedy podpisano porozumienie „kontraktowe”, były prologiem kampanii wyborczej, do której przeszliśmy z marszu: realizując postanowienia Okrągłego Stołu. Zmiana Konstytucji (wprowadzająca urząd prezydenta i Senat, swobodę zrzeszania się i pluralizm związkowy) oraz objęcie przez KO przy Wałęsie patronatu nad wyborami posłów i senatorów ze „strony opozycyjno-solidarnościowej” otwały drogę do utworzenia 10 kwietnia 1989 r. Krakowskiego Komitetu Obywatelskiego w celu koordynowania wyłaniania kandydatów i przebiegu wyborów.

Zgoda na wybory „kontraktowe” wywołała w obywatelskich środowiskach poważne obawy i napięcia. Z wielu stron ostrzegano, że przyniesie nam to klęskę polityczną, że „zarzuca nas czapkami”, bo władze mają wszystkie możliwości od propagandy w TV, radiu i prasie, po tajną policję i wojsko, a na „bratnim” wsparciu kończąc, że w tak krótkim czasie nie zdołamy się przygotować. Nawet po naszej stronie twierdzono, iż zamiast „kontraktowych” 35% mandatów do Sejmu uzyskamy jakieś 23%. Miałem także rozmaite obawy, ale uważałem, iż należało podjąć negocjacje „okrągłostołowe” oraz przystąpić do wyborów „kontraktowych”, aby poszerzać sfery jawnego działania na rzecz demokracji w Polsce. Tym się różniłem od niektórych moich przyjaciół z tajnej działalności w TKK oraz KKW, którzy twierdzili, że zamiast negocjować, należy przygotowywać strajk generalny.

Strona „rządowo-koalicyjna” szła do wyborów ze starymi nawykami, pewna zwycięstwa w pierwszej turze, z „listą krajową” na czele. Służyć temu miała geografia wyborcza: w województwie krakowskim utworzono 3 okręgi wyborcze do Sejmu. Ja startowałem ze Śródmieścia oraz 15 gmin od Michałowic po Czernichów. Zamysł był oczywisty: wyborców krakowskich, tradycyjnie uważanych za opozycyjną inteligencję, miały równoważyć „masy ludowe”.

Tworzyliśmy – jak mówiono – „drużynę Wałęsy”, co w Krakowie symbolizował jedyny tego rodzaju – obok standardowych każdego z nas z Lechem Wałęsą – świetny plakat pomysłu Jacka Stokłosa – na którym Wałęsa trzymał planszę z nazwiskami krakowskich kandydatów do Senatu i Sejmu.

Władze PRL były przekonane, że „kontrakt” gwarantuje im zwycięstwo, tymczasem weszły na pole sobie nieznane i niebezpieczne – po raz pierwszy w tej skali mieliśmy wybór jednej z dwu możliwości a ważność głosu wymagała skreśleń. Najlepiej – agitowaliśmy – pozostawić tylko nazwiska kandydatów Komitetu Obywatelskiego. W moim okręgu taką rolę odegrała świetnie pomyślana „ściągą wyborcza”, rozpowszechniana przez kolegów z PAN – pogładowo instruująca, na kogo głosować i jak skreślać konkurentów. A że nie było ciszy wyborczej, nasze stoliki informacyjne były przed wszystkimi lokalami, „ściągą” rozdawana była masowo i podobno nawet wrzucana do urny wraz z kartą do głosowania.

Kampania wyborcza pozwoliła na jawną działalność tysięcy osób wspierających kandydatów Komitetów Obywatelskich. W „moim” okręgu było nie mniej niż 700 formalnie zarejestrowanych, których pracą kierowali Teresa Dobrowolska i Tomasz Gąsowski z UJ. Pełnili dyżury w punktach informacyjnych na ulicach Krakowa, tworzyli lokalne komitety wyborcze, wyjeżdżali do podkrakowskich miejscowości, a 4 czerwca jako mężowie zaufania czuwalili nad przebiegiem wyborów i liczeniem głosów. Dla większości była to pierwsza, niepowtarzalna, nawet jedyna w życiu możliwość bezpośredniego udziału w akcie politycznym w poczuciu wolności.

Kandydaci partyjni na spotkaniach roztaczali m.in. perspektywy pracy na kontraktach zagranicznych i lokalnych dobrodziejstw. Cóż mogłem obiecać? Mówiłem o potrzebie nowej konstytucji, zniesieniu cenzury, konieczności wprowadzenia samorządu, o perspektywie suwerennej i demokratycznej Polski. Na spotkaniu z oficerami w Klubie przy ul. Bitwy pod Lenino, a dziś znowu Zyblikiewicza, przywołałem z Konstytucji 3 maja, iż „wojsko to siła zbrojna wyciągnięta z narodu ku jego obronie”, a nie „zbrojne ramię partii”. Bywało także gorąco, jak w Zielonkach, gdzie „wyręczyli” mnie mieszkańcy, ostro atakując władze za brak dbałości o gminę. W Iwanowicach, po sumie, na placyku w kole stojących mieszkańców (głównie mężczyzn) rozprawiałem o koniecznych reformach, w Liskach za trybunę miałem przyczepę od traktora, w Dąbrowce Szlacheckiej agitowałem w kościele od ołtarza, a na Dąbiu w prowizorycznej kaplicy przy budującym się kościele, podobnie na Osiedlu Oficerskim, a na Kazimierzu w salce parafialnej przy kościele Bożego Ciała. W Czernichowie, gdzie była świetna grupa nauczycieli z tamtejszej szkoły rolniczej, spotkanie miało niemal „galicyjski” charakter: przy pięknej pogodzie na skarpie pod kościołem, wokół pomnika Stefczyka, zbrali się chętni, a z boku oparty na lasce stał Prof. Emanuel Rostworowski, właściciel dworu w sąsiedniej Rybnej, który przysłuchiwał się, jak miejski kandydat „wyborczo bałamuci” lud... W klasztorze Dominikanów egzaminowali mnie członkowie Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa – mówiłem m.in. o konieczności poprawy komunikacji, o kolei miejskiej na wzór Trójmiasta i na lotnisko w Balicach, co nb. stało się faktem po 25 latach.

Nie było incydentów, czuło się poparcie, sympatię, zaufanie i wielkie nadzieje, wyrażane nie tyle słowami, co postawą, jak w czasie ostatniego spotkania w Przybysławicach za Zielonkami, ▶

► kiedy na naszą mocno spóźnioną „ekipę” czekała duża grupa z mnóstwem kwiatów, prosząc, żebyśmy z nimi posiedzieli... My z tymi kwiatami, przybysławiczanie przed nami i w pewnej chwili jedna z mieszkanek przerwała ciszę: „Jacy jesteście ładni ...” Trudno to zapomnieć, bo w tych słowach kryła się nadzieja, że będziemy inni od tych, którzy wtedy reprezentowali „władzę”.

A „oni” chwyтали się rozmaitych sposobów: w połowie maja 1989 r., kiedy już trwała kampania wyborcza, na Starym Mieście po raz ostatni przeciw manifestantom wystąpiło ZOMO. Utarczki w rejonie ul. Dominikańskiej trwały kilka godzin i dopiero moja, wspólnie z T. Piekarzem i L. Moczulskim (kandydatem KPN do Sejmu), interwencja wieczorna u gen. Gruby spowodowała wycofanie „bud” z ZOMO do Toń. Nasze plakaty były niszczone i na moich, obok bazgrołów, była Gwiazda Dawida. Tak „aktyw” przemawiał do wyobraźni wyborców. W noc poprzedzającą wybory nasz sztab skierował „na miasto” grupy z nowymi plakatami, które pokryły mury Śródmieścia, przytłaczając marne agitki partyjne. Kandydaci na posłów, a najpewniej także działacze Komitetu Obywatelskiego, byli pod nadzorem SB. Znane mi dokumenty świadczą, że inwigilowano mnie także po wyborach, do połowy września.

Niedziela 4 czerwca była słoneczna, Żona dyżurowała w komisji wyborczej w Podgórzu, a ja z kilkoma przyjaciółmi chodziłem w Śródmieściu od jednego punktu wyborczego do drugiego, przed którymi przy stolikach z plakatami, ulotkami i „ściągami” dyżurowali koledzy z UJ, PAN i AM, wszędzie

atmosfera festiwalu wolności, na Rynku Głównym trwał spontaniczny festyn na rzecz wszystkich naszych kandydatów, do chętnych przez tubę mówiłem, że oto dziś „decydują nie kosy, a głosy”, co się nawet podobało.

Około godz. 16 mój pełnomocnik, dr Józef Wróbel, w biurze wojewódzkim, gdzie już „spływały” wyniki z obwodów zamkniętych w szpitalach, domach opieki oraz jednostkach wojskowych, podał, że otrzymałem ponad 80% głosów. Także w „sztabie” w budynku UJ na rogu Manifestu Lipcowego i Czapskich nastroje były z każdą godziną lepsze, a kiedy po godz. 23 przychodzili pełnomocnicy z wynikami z obwodów wykrzykując od drzwi: 85 – 91 – 94 %, temperatura rosła błyskawicznie. Informatycy, pracownicy i studenci UJ sumowali napływające sprawozdania potwierdzające sukces: przypałał mi drugi wynik w Polsce – 87 % ważnie oddanych głosów, po Gilu, który w Nowej Hucie otrzymał 88%.

Wezwanie do skreślenia wszystkich kandydatów „partyjno-koalicyjnych”, podchwyczone przez wyborców z satysfakcją, sprawiło, iż głosowanie 4 czerwca miało charakter plebiscytu politycznego, którego wyniki były jednoznaczne.

Nad ranem rozchodziliśmy się zmęczeni i nieco oszołomieni emocjami. Wracalem piechotą – pod lokalami wyborczymi na Kapucyńskiej, Łobzowskiej, Długiej, grupki spieszących do pracy czytały wywieszzone na drzwiach informacje z wynikami głosowania, zerkalem i ja ciekawie spoza ich ramion, niektórzy rozpoznawali i gratulowali.

W pół roku po wyborczym przełomie usłyszeliśmy „sztaandar wprowadzić!” ...

JERZY ZDRADA

Mój czwarty czerwca

Ten czerwcowy dzień 1989 roku był dniem niezwykłym. Dla nas, w Polsce, stanowił punkt zwrotny w odchodzeniu od dysfunkcyjnego komunizmu i przejściu do wymagającej demokracji i najeżonego rafami kapitalizmu. Tego samego dnia walił się, w strumieniach krwi, sen wielu Chińczyków o wolności. Miliony mieszkańców Iranu obudziło się tego czerwcowego dnia z nadzieją, którą budziła śmierć ajatollaha Chomeiniego.

Dla mnie osobiście stanowił także dzień nowego otwarcia – tego dnia leciałem samolotem do Kanady, gdzie miałem wygłosić cykl wykładów na zaproszenie pięciu kanadyjskich uniwersytetów. Zaowocowały one nie tylko późniejszym, dwuletnim pobytem w tym kraju, ale także kontaktami, które okazały się nieocenione w moim dalszym rozwoju naukowym i współpracujących ze mną osób.

Pamiętam, jak wielkie nadzieje budził we mnie wynik czerwcowych wyborów. Wydawało się, że wreszcie ziścił się sen o dołączeniu do demokratycznego i bogatego Zachodu. W dodatku udało się tego dokonać bez przelewu krwi – tak nietypowo w całej naszej historii. Euforię widziałem też wśród moich przyjaciół i znajomych. Przysłaniała ona widok na poziom trudności, z jakimi musiała zmierzyć się zdemokratyzowana Rzeczpospolita. Skrajnie nieefektywna gospodarka, przestarzały technicznie przemysł – w niektórych obszarach dramatycznie, brak specjalistów od nowoczesnego zarządzania, przyzwyczajenie znacznej części społeczeństwa do

opiekuńczego państwa. Do tego nadal stacjonujące u nas sowieckie wojska.

Osiągnęliśmy jednak sukces – żyjemy w mocno niedoskonałym, ale jednak wolnym kraju, będącym częścią demokratycznego Zachodu. Jesteśmy w Unii Europejskiej, z której czerpiemy niezwykle profity, nie tylko w sensie materialnym, ale także w postaci dobrych, demokratycznych wzorów. Członkostwo w NATO znacząco zwiększyło nasze bezpieczeństwo. Przeszliśmy bolesną gospodarczą transformację, z wielkim bezrobociem, masową zarobkową emigracją czy hiperinflacją. Teraz bezrobocie jest jednym z mniejszych w Europie, a średni poziom życia w Polsce zwiększył się niepomniernie, chociaż nadal odstaje od tego w krajach bogatszego Zachodu. Tak krytykowana przez niektórych prywatyzacja znacznej części gospodarki, w której wzięli udział wielcy światowi gracze, nie tylko pozwoliła na pozyskanie nowoczesnych technologii i dobrych praktyk zarządzania, ale także stanowiła podglebie dla powstania setek tysięcy nowych polskich firm, na ogół jeszcze niezbyt dużych, ale dających pracę milionom ludzi. Uniknęliśmy przy tym niszczącej demokrację oligarchizacji gospodarki, co stało się udziałem niektórych krajów, w których nie zdecydowano się na wpuszczenie większego strumienia obcego kapitału pod hasłami utrzymania narodowego charakteru gospodarki. Nie wątpię, że data 4 czerwca 1989 roku zapisze się złotymi zgłoskami w naszej historii.

ANDRZEJ JAJSZCZYK